

Dialogi z przyrodą

Wędrowanie po rozległych podmokłościach Pradoliny Warszawsko-Berlińskiej ma swój specyficzny klimat. Choć z punktu widzenia naukowo uformowanej estetyki flora pradoliny może miejscami wydawać się nieciekawa, mało poruszająca, niezbyt cenna, to w momencie, gdy odkrywamy „drugie dno” tejże pradoliny, okazuje się ona zawsze fascynującym kompanem.

Inwentaryzacja florystyczna tego obszaru Natura 2000, położonego kilkadziesiąt kilometrów na północ od Łodzi, była dla mnie niezapomnianą przygodą i wspaniałą lekcją przyrody. Największym sukcesem było odkrycie przez naszą grupę stanowiska goździka pysznego, który jest niezwykle rzadkim i pięknym gatunkiem z Polskiej Czerwonej Listy. Oczywiście w ciągu paru dni wędrowania i oznaczania gatunków musiałem pokonywać wiele drobnych trudności. Najsilniej zmagalem się ze zmęczeniem i lenistwem. Na szczęście nikt z kompanów nie zabraniał mi odpoczywać lub wracać wcześniej „z terenu” do miejsca obozu. Badania bez momentów samotnej wędrówki, wyciszenia, kontemplacji tego, co dookoła tętniło życiem, byłyby niepełne, a nawet myślę, że prawie nic by dla mnie nie znaczyły. Każdego dnia nieco wcześniej zęgnalem w terenie piękne studentki-botaniczki, aby mieć okazję powłóczyć się w samotności po wiejskich bezdrożach i podmokłych pastwiskach, wracając do naszej „bazy” w szkole podstawowej.



Goździk pyszny w Pradoliny Warszawsko-Berlińskiej. Fot. Adam P. Kubiak

Wtedy mogłem dyskutować z przyrodą o tym, jaki powinien być model pracy naukowej, aby nie czynił z niej zautomatyzowanego i zubożonego rzemiosła. Przecież gdyby praca terenowa była takim rzemiosłem, byłaby fałszywa... Fałszywe spojrzenie na przyrodę, jakby z zawieszonymi emocjami, brakiem spontanicznych reakcji, ludzkich odruchów, momentów zatrzymania – to jak spotkanie biznesowe z przyrodą. Biznes a nie spotkanie! Wydało mi się, że cele badawcze są tylko „opakowaniem” dla czegoś ważniejszego. Że chodzi o to, co między wierszami, co się dzieje dookoła, co się przeżywa. Cele nieświadomione, marzenia, wyobrażenia, wspomnienia, pragnienia. Pasja poznawcza, zachwyt zdziwienia, spotkanie z naturą, spotkanie z Absolutem, z fascynującą przyrodą i z człowiekiem żyjącym w niej i z nią, jak w starym dobrym małżeństwie. To jest kluczowe!

Z tych doświadczeń wypływa spontaniczne pragnienie objęcia opieką, otoczenia troską, zapewnienia życiu możliwości rozwoju. Przypomniałem sobie, jakie cele stawiano przede mną, gdy zajmowałem się badaniami magisterskimi związanymi z ochroną przyrody. W nadleśnictwie usłyszałem, że badania związane z inwentaryzacją przyrodniczą zlecane są firmom i instytucjom, a w mojej pracy istotne jest to, żebym pozostawił podziękowania będące dowodem współpracy nadleśnictwa z „ochroniarzami”. Przy oznaczaniu roślin usłyszałem, że kluczowym elementem jest zielnik, który po mnie zostanie. Przy syntezie badań dowiedziałem się, że chodzi o to, abym popisał się na egzaminie magisterskim, co potrafiłem zrobić. Jakkolwiek nie neguję, że były to ważne cele, to nikt wtedy nie powiedział mi wprost, że chodzi o to, abym pomógł trwać rzece, którą badałem, w jej własnym rytmie. Bałem się że stracę z oczu ten cel, który już po części wtedy straciłem...



Pobrzeże jeziora Dolgie Wielkie. Fot. Adam P. Kubiak

Słowiński Park Narodowy był następnym celem moich badawczo-przygodowych zapędów. Tam pierwszy raz zobaczyłem gatunki, których trudno szukać na terenach bliższych moim rodzinnym

stromom. Bażyna, zostera morska, woskownica europejska, brzeżyca jednokwiatowa, pływacz drobny – ujrzeć je po raz pierwszy było dla mnie przeżyciem podobnym temu, jakiego doświadczyłyby miłośnik malarstwa widzący po raz pierwszy oryginały obrazów najwybitniejszych artystów. Wybrałem się też w podróż do „polskiej Tunezji”, gdzie cieszyłem się z moją Magdaleną cudem Europy, jakim jest kompleks ruchomych wydm i jego roślinne osobliwości. Niejako przy okazji, wspólnie ze znajomymi ze Studenckiego Koła Naukowego Ochrony Przyrody, ocenialiśmy stopień zachowania lobeliowości jednego z jezior Parku – Dołgie Wielkie. Późnymi wieczorami, wracając z plaży, szliśmy po omacku otoczeni przez stare skarłowaciałe bory bażynowe, tudzież analizowaliśmy wnikliwie zagadkowe dane z terenu.

Na kolejnej stacji przyrodniczej przywitałem się z miastem Ostróda. Ponieważ z mojego przyrodniczego pobytu na Mazurach niewiele już pamiętałem, poczułem się w tym miejscu ogromnie łakomy dziczy i miałem w głowie wielkie plany podróży w sam środek labiryntu dziewiczych jezior otaczających tę miejscowość. Do podróży miał wpierw nastroić mnie pozytywnie ostródzki festiwal muzyki reggae. Niestety, jak „mówi” ekologia: środowisko jest wymagające dla osobników tworzących dany ekosystem i nawet jeśli mają w nim swoje idealne nisze, nie zawsze dostają to, czego by chciały. Choć znalazłem swoją niszę w mazurskim otoczeniu, okazało się, że jeszcze tego samego dnia musiałem wracać do domu.

Smutek zrekompensowałem w pełni kilkudniowym wypadem na Roztocze, gdzie znalazłem się pod pretekstem uchwycenia stanu szaty roślinnej stawku Florianka, który, jak twierdzili pracownicy Roztoczańskiego Parku Narodowego, był małą kopią znanych niedzielnym turystom Stawów Echo. Stawek zarósł i zamulił się, stąd planowano pogłębienie dna i wymianę grobli. Pan dr hab. Bogdan Lorens, którego poznałem nieco wcześniej, od lat związany z RPN, zaproponował, abym obserwował sukcesję roślinności po przebudowie stawku. Zbiornik ten, otoczony borami, nie nawiedzany przez turystów, okazał się naprawdę „zapuszczonym”, fascynującym obiektem poznawania procesów przyrodniczych. Odkrywanie tych procesów może stać się kluczem do zrozumienia odpowiedzi na filozoficzne pytania o istotę bytu, których udzielają nam Heraklit czy Whitehead. Dwa dni intensywnej pracy. Trzeciego dnia obudziłem się przed świtem, z radosną myślą: jeszcze żyję, jeszcze jeden dzień życia w prezencie, jeszcze raz mogę wsiąść na rower i przejechać się po okolicznych roztoczańskich włościach... Przybyła moja piękność i we dwoje cieszyliśmy się tym, co nas otaczało, jednym z piękniejszych darów polskich ziem, który mogliśmy przyjąć zupełnie za darmo.

Z Roztocza niedaleko było już do doliny rzeki, która jest uważana, obok Wisły, za unikatową pod względem przyrodniczym w skali ogólnoeuropejskiej. Bug to rzeka dzika, nieuregulowana, bogata w meandry i starorzecza. Przygraniczna część jej doliny należy do międzynarodowego Rezerwatu Biosfery „Polesie Zachodnie”, są to też tereny Natury 2000. Chciałem się z Bugiem zaprzyjaźnić, aby być może w najbliższej przyszłości uczynić starorzecza tej rzeki przedmiotem bardziej dociekliwych obserwacji. Mieli o tym wkrótce zdecydować profesorowie oceniający potencjalnych doktorantów. Naukowcy z komisji, choć niekoniecznie musieli być specjalistami od przyjaźni, mieli za zadanie ocenić, czy poprzestałbym „tylko” na przyjaźni.



Starorzecze Bugu. Fot. Adam P. Kubiak

Dobrze zaczął się mój pierwszy, wieczorny wymarsz nad rzekę i pierwsza ekstaza, która trwała do momentu spotkania ze strażą graniczną następnego dnia. Jakoś strażników przekonałem, że w moim interesie leży li tylko obserwacja szaty roślinnej. Obiadową porą usiadłem na starej łajbie przy brzegu jednego z jezior. Nade mną ciągnęła się szeregówka działek z ogrodami wypoczynkowymi. Na każdej działce zaparkowany był samochód. Szkoda, bo niedaleko była stacja PKP. Kiedy moja

wyobrażenia zachmurzyła się wizją nieuchronnej kolonizacji doliny przez nowobogackich niewolników skrajnej wygody, podszedł do mnie chłop i oznajmił, że rano spłonęła mu obora. To skłoniło mnie do przzerwania wymaginowanych czarnych scenariuszy i powrotu do szkoły, w której miałem nocleg.

W szkole na ścianie widniały słowa wiersza Marii Konopnickiej: „... Śpiewać jak ptaszkiwie leśni / ani widząc, ani dbając / czy kto słucha pieśni”. Śpiewałem tak swawolnie następnego dnia, kiedy zapuściłem się w rejon, gdzie na horyzoncie łąk nie było już widać żadnego gospodarstwa. Czułem, że w ekstazie uniesień i wzruszeń przyglądałem się nie tylko przyrodzie, ale też czemuś ważniejszemu. Jednak mistycyzm przyrodniczy nie zawsze musi prowadzić do pozytywnej zmiany. Może także prowadzić do bezkrytycznej duchowej indywidualizacji, albo konsumpcjonizmu wrażeń. Z taką świadomością opuściłem nadbużański raj, aby wkrótce potem udać się na modlitwy w góry...

Beskid Śląski. Oprócz patrzenia w szyby niewiele miałem tam styczności z górami. Klauzura z powodu „złej” pogody i tylko jeden krótki spacer, podczas którego widziałem podrzenia żebrowca i masę jeżyn oraz „czarcie jajo”. Na szczęście nie brakowało mi pasjonujących krótkich teoretycznych rozmówek z Pawłem na temat flory i biologii ogólnie. Paweł jest wicemistrzem Polski w biologii – jak zawsze motywował mnie swoją osobą do zgłębiania (a raczej nadrabiania) wiedzy przyrodniczej. Rekolekcje w Beskidach prowadził kapucyn, który nie przepadał za teorią ewolucji. Być może był kształcony w tej materii przez znanego ze swoich poglądów witalistycznych, kontrowersyjnego ojca prof. Lenartowicza. Ja akurat przepadam za teorią ewolucji i to bardzo...

Ostatnią niewinną letnią zieloną igraszką był dwudniowy marsz po bieszczadzkich połoninach. Tym razem w obie strony trzeba było łapać „okazję”. O Bieszczadach opowiadało już tak wielu i tak siarczyste historie, że trudno dodać od siebie coś nie zakrawającego na banał i nudziarstwo. Jednak nie sposób nie wspomnieć o jednym spotkaniu, które na długo poruszyło moje serce. W Wołosatem gościłem u leśniczego, pana Jacka Kranca. Człowiek niezwykajny, pełen duchowej mocy, mądrości i nadziei. Rozmawialiśmy o Bieszczadach i ochronie przyrody, o życiu i wierze. Tak obcowanie z dziką przyrodą gór zwieńczone zostało doświadczeniem najcenniejszej według mnie części przyrody, najsilniej nadającej sens egzystencji. Tą częścią było i będzie oblicze drugiego człowieka, ukazujące, że światopogląd odrzucający istnienie ludzkiej wolności i nieprzewidywalnej twórczości, nie posiada racjonalnego uzasadnienia, a logicznie i metodologicznie niepoprawna nadinterpretacja odkryć biologii i zubożałe rozumienie Natury przez badaczy takich jak Dawkins, pozostaje li tylko – filozoficznie niezbyt kompetentnym – wyznaniem wiary.

Gdzieś po drodze moich letnich wojaży była jeszcze malutka miejscowość Wołczyn i pola kukurydzy zasilanej odpadami z tamtejszej drożdżowni. Rośliny rzeczywiście były większe i pewnie rosły jak na drożdżach. A obok drożdżowni klasztor Kapucynów i młodzieżowy zlot z głośną muzyką, od której można było odpocząć wybywając poza mury klasztorne na spokojne polany, i tam zadać sobie pytanie: Czy dostrzegam w przyrodzie Człowieka, czy dostrzegam w niej Boga? A potem jeszcze ważniejsze: Jakiego człowieka i jakiego Boga? Przypomniałem sobie zasłyszaną maksymę Kołakowskiego – „jeśli Bóg jest wszystkim, to Boga nie ma”. Jeśli więc jest Bóg, to przyroda – parafrazując myśl Plotyna – jest z Jedni, ale Jednią nie jest. Trudne pytanie o naturę Boga, czy istotę przyrody, nie sprowadza się jednak, jak wierzę, do zielonych igraszek i nasuwających się naturalnie (poprzez egzystencję czy intuicję racjonalną lub emocjonalną) oczywistych i pewnych odpowiedzi.

Tak, jak w przyrodzie jest czas obumierania, tak moje serce musi obumierać. Choć nie jest uzależnione od dzikiej przyrody, to od kilku miesięcy czeka na spotkanie z nią. Zawsze czeka też z jeszcze większą tęsknotą na spotkanie z Człowiekiem, szczególnie takim, jak Pan Jacek, który wzrasta pełen mądrości czerpanej z dzikiej przyrody. Jednak najbardziej czeka na spotkanie z Bogiem.

Lada moment wybieram się nad Bug. Wody rzeki wystąpiły z brzegów i zalały z ożywczą mocą

zastała breję, zasuszone łąki, niewzruszone stare koryta... Wielki tydzień wielkiej powodzi!... Ile jeszcze takich dolin się ostało? Ile z nich zabudowano, wyrównano i obwałowano?! W ilu z nich nie płynie już woda, lecz ściek? Ile z nich to doliny obojętności? Ile z nich to doliny rozpaczy?

Adam P. Kubiak